Rok V. Kraków, 22 maja 1874. Nr. 117.

# DJABEŁ



**Wychodzi 7 i 22 każdego miesiąca.**

Redakcja przy ulicy św. Filipa Nr. 73.

Rękopisma nie zwracają się, ale bywają niszczone.

**Numer pojedyńczy 20 centów.**

**Przedpłata kwartalna:**

w Austrji złr. 1 cnt. 25,

w Niemczech 25 srgr. we Francji, Belgji i ks. Naddunajskich 3 franki.

**Ogłoszenia po 10 c. od wiersza.**

## Tabelka kryminalna

### do praktycznego użytku

w miejsce

### tabliczki Pitagoresa.

| Czyn | Okoliczności łagodzące lub obciążające | Nazwa przestępcy | Kara |
|---|---|---|---|
| 1. Sprzątnięcie bochenka chleba. | Powtórzone kilkanaście razy i upozorowane koniecznością wyżywienia się. | Złodziej. | 10 lat więzienia z jednorazowym postem co tydzień. |
| 2. Zabranie głowy cukru, wartości 5 zła. | Połączone z wyłamaniem zęba, ale cukier odebrany. | Rabuś. | 5 lat ciężkiego więzienia. |
| 3. Kradzież od 5 do 300 zła. | Brak wykształcenia. | Zbrodniarz. | 2 lata więzienia i 3 dni postu. |
| 4. Kradzież od 300 do 100,000 zła. | Prześladowanie losu i zbieg nieszczęśliwych okoliczności. | Przeniewierca. | 1 rok zwykłego więzienia. |
| 5. Kradzież od 100,000 do półmiljona zła. | Zawód na operacjach giełdowych. | Człowiek nieszczęśliwy. | 3 dni aresztu domowego. |
| 6. Od półmiljona do dwóch miljonów zła. | Zbytek zaufania ze strony publiczności. | Zręczny spekulant. | |
| 7. Wyżéj nad dwa miljony zła. | Wysokie stanowisko i obowiązek utrzymania godności imienia. | Wielki pan. | Zaszczyty, godności i powszechny szacunek. |

*Uwaga ad 4, 5 i 6.* Obwinieni o sprzeniewierzenie sum mniejszych od normalnych mają prawo żądać dopłaty aż do wysokości kwoty wymienionéj w *respective* punkcie. — Np. jeżeli kto sprzeniewierzył tylko 40,000, należy mu dopłacić 60,000; jeżeli 250,000, ma prawo upominać się o drugie tyle itd.

## Podziękowanie.

Zakończył w Krakowie żywot doczesny — jak słusznie powiedział ks. Goljan w mowie pogrzebowéj — „mąż wiary, nauki i poświęcenia“, mąż prawy, którego imię niedawno jeszcze w ustach każdego dobrego Polaka było symbolem szlachetnego patrjotyzmu, jedna z ofiar prześladowania religji i narodowości naszéj, ś. p. ksiądz *Józef Wyszyński,* kanonik lubelski, niegdyś profesor akademji duchownéj i proboszcz parafji św. Aleksandra w Warszawie, a w roku 1861 podczas *czterdziestu dni wolności* członek komitetu obywatelskiego. Warszawa nie mogła złożyć ostatniego hołdu zmarłemu, tém wdzięczniejszą jest przeto Krakowowi, że wyręczył ją w spełnieniu tak świętego obowiązku. Nie w zamiarze więc próżnéj chwalby, o którą Kraków nie dba wcale ani jéj nie potrzebuje, jako znany w całym świecie z gorącego nabożeństwa i gotowości uczczenia mężów zasługi czy to w kościele czy w narodzie, bez względu nawet na prowincjonalne kordonowe podziałki; ale w imieniu nieobecnych czujemy się w obowiązku złożenia serdecznych podziękowań tym wszystkim, którzy przyjęli udział w odprowadzeniu do grobu zwłok śp. księdza Józefa. Wśród niezliczonych tłumów narodu tłoczącego się za skromnym karawanem i długiego prawie bez końca szeregu powozów i karet miejscowéj arystokracji zwracali na siebie powszechną uwagę:

Jego ekscelencja ks. biskup *in partibus infidelium,* administrator djecezji krakowskiéj, dopełniający sam eksportacji *in pontificalibus*; prześwietna kapituła krakowska z asystą całego przezacnego duchowieństwa świeckiego i zakonnego;

wszystkie bractwa i cechy: białe i czerwone, szare i czarne, niebieskie i zielone, kapturowe i bez kapturów, z obrazami świętych na piersiach i na plecach;

członkowie stowarzyszenia *Postępu,* zarówno skorzy do czynu jak do gorących odczytów i obchodu rocznic i dni pamiątkowych;

studenci z wydziału teologicznego akademji jagiellońskiéj i wiele jeszcze innych osób i korporacji, których — jako nietutejsi — nie mogliśmy dokładnie rozróżnić.

Ze znakomitości naukowych wskazywano nam w orszaku pogrzebowym kilku członków akademji umiejętności, tudzież reprezentantów *Czasu, Przeglądu Polskiego* i *Wydawnictwa katolickiego.* Cześć im wszystkim!... a po najdłuższém życiu niechaj ich pamięć taką samą otoczoną zostanie aureolą!

Nad grobem towarzystwo *Muza* odśpiewało *Salve Regina.*

Dla zamiejscowych winniśmy dodać, że cały ten wspaniały obchód odbył się *proprio motu,* duchowieństwo i bractwa wystąpiły bezpłatnie, po pogrzebie nie było żadnéj stypy... a jednak wszystko to widzieliśmy... w senném tylko marzeniu!....

*Przejezdni Warszawiacy.*

## Uniwersytet w Poznaniu.

### Odezwa do narodu.

W celu położenia skutecznéj tamy przeciw naciskowi germanizacyjnemu, postanowiłem założyć w Poznaniu wielki browar patrjotyczno-parowy, z którego na całą prowincję naszą wylewałyby się strumienie zyciodajnego nektaru, mogącego wytworzyć we wszystkich warstwach ludności niespożytą siłę odporną. Na nieszczęście ani mój majątek, ani szczupła realność, którą posiadam w Poznaniu, nie odpowiadają wielkości tego zadania. Powodowany zatém li tylko chęcią służenia sprawie narodowéj, podnoszę myśl, czyby nie było na czasie założenie w Poznaniu — rozumie się, z własnych naszych funduszów — uniwersytetu polskiego, na otwarcie którego nieprzychylny nam rząd, pomimo niejednokrotnych a tak słusznych domagań się, zezwolić nie chce. Wiemy z doświadczenia, że odwołanie się do ofiarności publicznéj, w celach tak wielkiéj doniosłości, nie było nigdy bezowocne. Całe Poznańskie, Prusy Zachodnie i Galicja pośpieszą z groszem ofiarnym; Królestwo kongresowe nawet, pomimo przeszkód miejscowych, znajdzie sposobność przyczynienia się do zbudowania nowéj twierdzy naukowéj na kresach naszéj ojczyzny, a znane ze swéj nieograniczonéj ofiarności wybitne osobistości księstwa hojnym jak zwykle datkiem przyśpieszą uskutecznienie téj nieobliczonéj w następstwach myśli. Na pierwsze wezwanie składki posypią się niebawem; który z matadorów naszych ofiaruje na ten cel obszerną, prawdziwie pańską nieruchomość swoją w Poznaniu, z któréj nie miał odpowiedniego dochodu; utworzymy komitet budowy uniwersytetu z osobistości przeze mnie wybranych; roześlemy delegatów na wszystkie strony dla zbierania składek; prośbą, groźbą i drażnieniem ambicji ściągniemy opóźniające się albo zalegające ofiary.... a gdy już pieniądze będą w naszym ręku, komitet przystąpi do rozpoczęcia budowy. Na pierwszém zaraz posiedzeniu przekonamy się oczywiście, że realność ofiarowana pod budowę uniwersytetu nie odpowiada wymaganym warunkom. Kupno stosowniejszego placu byłoby połączone z wielkiemi kosztami; na szczęście okaże się, że kamieniczka moja — jako w lepszém położona miejscu — będzie daleko odpowiedniejszą, bo znajduje się w środku miasta, a powtóre, uniwersytet można będzie postawić w dziedzińcu, tak, żeby w skromném swém ukryciu nie raził zawistnego oka Niemców. Na usilne domagania się współczłonków komitetu zgodzę się na zamianę mojego domu na realność ofiarodawcy z dopłatą kilkunastu tysięcy talarów, które jak raz przydadzą mi się na pierwsze potrzeby urządzenia browaru. Skromność moja nie pozwoli mi chełpić się mojemi czynami, a jednakże, dzięki tylko méj bezinteresowności, Poznań będzie miał własny swój uniwersytet, kiedy ja poprzestanę tylko na browarze, do którego spółki gotów jestem przypuścić owego szlachetnego ofiarodawcę mojéj już natenczas realności. Żeby jednak pamięć zacnego czynu przeszła do następnych pokoleń, nowy gmach mający być wystawiony *sumptem* całego narodu nosić będzie nazwę *„Uniwersytet polski na placu...* (tu nazwisko owego spodziewanego ofiarodawcy).... *w Poznaniu.* Jestem przygotowany na to, że z różnych stron podniosą się krzyki przeciw uchwałom naszego komitetu; ale ktoby tam zważał na podobne krzyki, dające się tak łatwo usprawiedliwić *tajnym berlińskim funduszem!....* a z drugiéj strony jakże miło jest cierpieć dla sprawy dobra publicznego!

Do dzieła, narodzie, bo czas nagli! browar chciałbym w bieżącym jeszcze ukończyć roku, a do budowy uniwersytetu przystąpić można tylko w miarę nadpływających składek... Do dzieła! niech się przekonają Niemcy, że kiedy idzie o obronę narodowości naszéj — przed żadną nie cofamy się ofiarą!!

Redakcje wszystkich pism polskich upraszam o powtórzenie niniejszéj odezwy.

# ROMANZA.

Poszedłem sobie w święta na Bielany.
Mnóstwo tam było: pań, panien, studentów,
Szewców i krawców... słowem wszystkie stany;
Nie brakło także społeczeństwa mętów.

Ci rozmawiają; tamci jedzą, piją;
Ci się oddają w objęcia huśtawki,
Inni śpiewają, a inni się biją...
Słowem wesoło, przeróżne zabawki.

Ponieważ nigdy krzyków nie lubiłem,
Więc opuściłem hałaśliwe grono,
I szedłem wolno w zadumaniu miłém
Prawie zupełnie pustą lasu stroną.

Wtém jakieś dziewczę, wiotkie gdyby trzcina,
Młodziutkie, białe, z jasnemi oczami,
I jakiś biały bezwąsny chłopczyna
Przebiegli szybko drugą ścieżką sami.

On jéj tajemnie szeptał coś na uszko,
A jego mowa musiała być miłą,
Bo się chwyciło dziewczę za serduszko
I jak wisienka nagle zrumieniło.

Że mam z natury ciekawość kobiecą,
Chętka mnie wzięła, dojść kto to jest taki,
I gdzie sam na sam tak pospiesznie lecą.
Ślad w ślad więc idę... oni weszli w krzaki.

Wchodząc, pierwéj się obejrzeli trwożnie;
Ale nikogo nie ujrzeli wcale,
Gdyż ja za nimi szedłem też ostrożnie,
Wciąż się za drzewa kryjąc doskonale.

Kiedym w to miejsce co i oni wkroczył,
Stanąłem chwilkę i patrzę ciekawie...
I przez zarośla obojem ich zoczył,
Jak obok siebie usiedli na trawie.

Ona mu wsparła na ramieniu głowę,
On zaś do piersi przycisnął jéj postać,
I wielce czułą prowadząc rozmowę,
Pragnęli wiecznie tak przy sobie zostać.

Potém ich usta — jak gdyby niechcący —
Coraz się więcéj ku sobie zbliżały;
Aż wreszcie całus złączył je gorący.
Późniéj całuski wciąż się powtarzały.

Wtém nagle w krzakach coś zaszeleściało...
Gołąbki szybko zerwały się z ziemi;
Jakiś mężczyzna z brodą posiwiałą,
W groźnéj postawie stanął między niemi.

Dziewczę z przestrachu oczęta zakryło...
Chłopcu jak w febrze nogi dygotały;
Stary za rękę chwyciwszy go z siłą,
Zawołał gniewnie, czerwieniąc się cały:

„To tego w szkołach uczą cię, hultaju! —
Zamiast rachunków, greki i łaciny —
Jak sobie schadzki masz urządzać w gaju
I bałamucić niewinne dziewczyny?!...

„Dam ja ci schadzkę, że ją wspomnisz we śnie
Boś tak przyjemnie żadnéj nie przepędzał!“
Rzekłszy to, laską zmierzył go boleśnie...
Nic delikatnych pleców nie oszczędzał.

Potém za rękę chwycił córkę drżącą
I zabrał z sobą, nie rzekłszy jéj słowa;
I tak rozdzielił parę kochającą
Bez pożegnania „Bądź zdrów!“ — „Bywaj zdrowa!“

Tylko wspomnienie zostało im smutne...
Dziewczęciu w sercu, a chłopcu na grzbiecie.
Takieto często nieszczęsne, okrutne
Losy ścigają ludzi na tym świecie!

## Telegramy własne Djabła.

**Berlin** 5 maja. Księciu Bismarkowi zalecili lekarze noszenie brody zamiast peruki. W skutek tego minister spraw wewnętrznych wydał do prokuratorów okólnik, polecający... konfiskowanie wszystkich pism humorystycznych z karykaturami brodatych mężczyzn.

**Berlin** 15 maja. Książę Bismark zachorował na stwardnienie karku. — Groźny przebieg téj choroby objawia się ciągłym zwrotem *(nie zawrotem)* książęcéj głowy na północ. — Lekarze zalecili silne upuszczenie krwi *(ale komu?)*.

**Petersburg** 2 czerwca. W ciągu bieżącego miesiąca nie zauważano ani jednéj kradzieży brylantów na dworze carskim.

**Berlin** 25 maja. Choroba ks. Bismarka wzmaga się. — Dr. Moltke i dr. Roon wezwani na konsyljum.

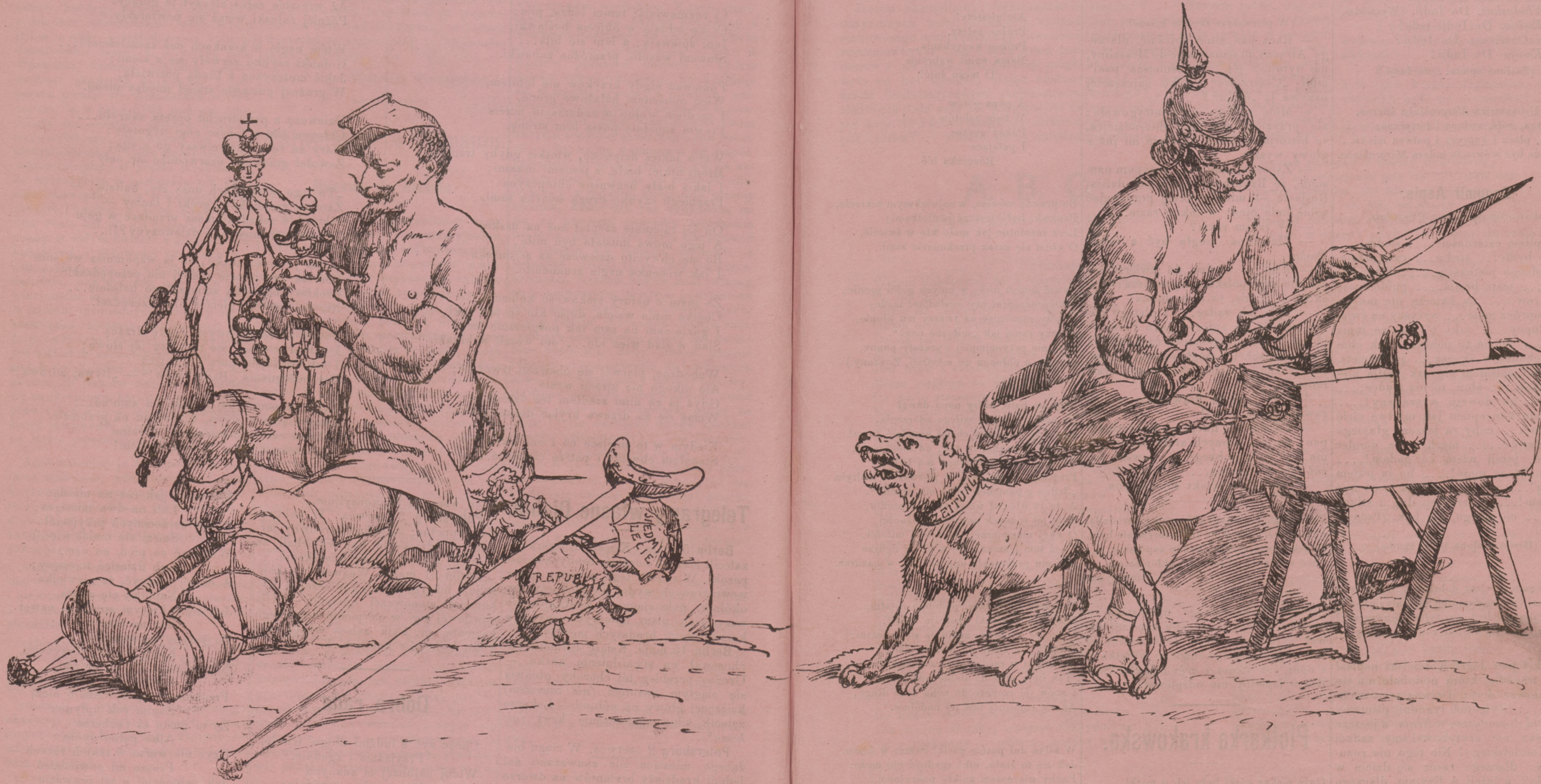
**Petersburg** 3 czerwca. W polityce cisza zupełna; członkowie rodziny carskiéj od dziesięciu dni wyjechali za granicę, albo na letnie mieszkanie.

**Berlin** 31 maja. Wezwani na konsyljum lekarze uznali konieczność wykonania stanowczéj operacji. — Dla chwilowéj ulgi w cierpieniu dostojnego pacjenta, dr. Falk zaleca wypędzenie kilku biskupów katolickich.

## Dobra rada.

Chcąc żyć z ludźmi długo, trwale,
Przyjaźnie i zgodnie,
Widuj najbliżéj ci znanych
Raz na dwa tygodnie;
Tych, dla których czujesz w sercu
Drgania mniéj gorące,
Nie widuj jak raz na miesiąc
Lub na dwa miesiące;
Resztę serdecznych przyjaciół
Staraj się mniéj więcéj
Widywać co pięć, co ośm,
Lub dziesięć miesięcy;
A chciéj wierzyć, że niewielka
Napotka cię strata,
Jak się z którym spotkasz nawet
Raz na cztery lata;
Bo jedyny stosuneczek,
Który pewno zbrzydzisz,
Niezawodnie z tymi ludźmi,
Których co dzień widzisz;
Przekonasz się bowiem o nich,
Zanim rok upłynie,
Że to puste są pęcherze
Albo pełne dynie.
Czyż nie warto w takich razach —
Proszę mi powiedzieć —
Jak najpóźniéj o téj prawdzie
Starać się dowiedzieć?

# DWAJ GLADIATORZY W EUROPIE




Djabeł N° 17. 1874 r.

Odbito w Litogr: A. Pruszyńskiego – ul. Floryańska N° 342 w Krakowie

# Przegląd teatralny.

## Do Indji.

**Przysłowie** (?) w 1 akcie przez Józefa Arrię.

(Nowe wydanie poprawne.)

*Pan Władysław.* Jadę do Indji.
*Panna Emilja.* Do Indji?
*P. Władysław.* Do Indji. (Wychodzi.)
*P. Emilja.* Do Indji jadę!
*Pani Onufrowa.* Do Indji?
*P. Emilja.* Do Indji!

(Zasłona spada.. do Indji.)

Panna Urbanowicz *Margrabinka* śliczna,
Rezolutna, miła, zwinna i fertyczna;
Śmiech, płacz i kaprysy i naiwna minka...
Nie może być w świecie milsza *Margrabinka.*

## Bogumił Aspis.

Monodram przez Pijanego.

Wypiłem czternaście.... siedm.... jestem bydlę... siedm... czternaście, bez jednego piętnaście..... Pitagoras osieł.... teatr bestja.... publiczność psia krew.... na świecie nie ma nikogo oprócz mnie... wszyscy na świecie głupcy.... jaki též to ze mnie osieł!... ludzie to pchły... tak chodzą, chodzą i skaczą... jak cielęta. Oooooo! spisałem się jak bestja nieokrzesana.... słoń, to nie słońce.... aha! to mi dowcip wyszukany!.... ruszyłem konceptem jak martwe cielę ogonem!... coby tu jeszcze głupiego powiedzieć?..... niech mnie dunder świśnie, jeżeli wiem co gadam!.... to kanalja ze mnie!.... bo ja jestem artystą!... a każdy artysta musi być pijakiem!... a teraz spadnę i stłukę sobie... co innego, nie bok. (Pada na ziemię.)

(Bestja zasłona także spada.)

— Cóż nam powiesz dobrego o *Napoleonie?*
— Że najlepiéj ze wszystkich spisały się konie.
— Czy dlatego że do nas tyłem się zwracały?
— Tak, bo nietylko one roli nie umiały.

„Jakiś pan Józef Kościelski napisał jakąś tragedję, którą podobało mu się zatytułować *Arrja.* Dziwna zarozumiałość!.... Tyle już tygodni pisujemy *Przegląd dramatyczny* w *Kraju,* a jeszcze ani razu nie krytykowaliśmy żadnéj arji Kościelskiego! Nic tego nie rozumiemy: dlaczego rzecz się dzieje w Rzymie? a jeżeli w Rzymie, dlaczego rozmawiają nie po łacinie, tylko po polsku? a jeżeli po polsku, dlaczego autor nie uczył się języka polskiego z *Kraju?*... to byłby dopiero język klasyczny!... Fundując się na gruntownéj znajomości *Compendium* noszącego tytuł *Antiquitates romanae,* konstatujemy tu, że cała fabula *Arrji* jest sfingowana, a dotyczące peripetje budzą abszmak w umyśle widzów, niemogących wypośrodkować przewodniéj myśli Afranusa......"

(W pierwszym rzędzie krzeseł.)

— Racz pan mnie objaśnić, dlaczego Afranus, przemawiając do Messaliny, nie tytułuje jéj „Najjaśniejsza pani" albo „Cesarzowo", tylko najczęściéj nazywa ją *„boska"?*

— Mnie samego to zaintrygowało; ale przyznam się pani dobrodziéjce, że historja rzymska zupełnie mi już z głowy wyszła.

— Zaczekaj pan..... przypominam sobie, ze Rzymianie — tak jak dzisiaj Rosjanie — mieli zwyczaj przyswajać sobie imię ojca; w takim razie...

— W takim razie?

— Messalina mogła być z domu *Boska.*

— Ależ to trudne do uwierzenia: szlachcianka polska żoną cesarza rzymskiego!... nie, to niepodobna!

— I ja tak sądzę... i dlatego domyślam się, że autor — jako Polak — chciał tylko przypomnieć nam, że jak każdy szlachcic mógł zostać królem, tak każda szlachcianka nawet cesarzową!

— Myśl piękna prawdziwie, ale to zawsze fikcja tylko!

— Fikcja nie fikcja... zapominasz pan, że dla naszych archeologów nie ma nic niepodobnego... zawsze oni coś tam wygrzebią...

— Ts... trzeci akt się zaczyna.

Gdyby pani Parżnicka chłopcem się zrodziła,
Pewnoby *Hrabią René* tak dobrym nie była.
O wskazówce z afisza każdy zapomina,
Choć radby się przekonał: chłopiec czy dziewczyna?

Pana Wejnowskiego upraszamy w imieniu publiczności, aby częściéj dawał nam sposobność *delektowania się* tak oryginalnie wykonanemi wyjątkami z oper, jak *Scena i arja z Halki.* Sam Bosco lepiéjby nie odśpiewał!

# Plotkarka krakowska.

Dwie piękne córki było ich u matki,
A żadnéj dotąd nikt nie brał w zamęście;
Jak safjanowe na książkach okładki,
Strojne sukienki całe dziewcząt szczęście!
A w ich serduszkach — mój Ty miły Boże!
Tyle zachwytu i tyle miłości,
Że mimo silne skromności obroże,
Panienki zawsze były w gotowości
Oddać się temu i z duszą i z ciałem
I z starożytną hrabiowską koroną,
Kto pierwszy słowem gorącém i śmiałém
Zwaćby je zechciał kochanką lub żoną.

Ale niestety!
Próżne zalety,
Próżne wzdychania...
Mama wciąż wzbrania
O mężu śnić!

A papa gotów
W imię zalotów
Panny gorące
I pałające
Rózeczką bić.

Bo prawdę mówiąc, w największym sekrecie,
Panienki były jeszcze podlotkami;
Lecz rezolutne jak mało kto w świecie,
O czém się zaraz przekonacie sami.

Bywał tam u nich, w innych gości gronie,
Jakiś *auspicjent* czy *auskultant* może;
Świeży rumieniec na twarzy mu płonie,
A oczy ranią jak „miłosne noże".
(Tak się przynajmniéj wyrażały panny,
Mówiąc o chłopcu do *młodszéj,* Zuzanny.)

Otóż na balu, który papa dawał
Na cześć jakiegoś miłego zdarzenia,
Nadobny młodzian chciał urządzić *kawał*
I zdurzyć pannę, ot tak, od niechcenia,
Bo do karjery potrzebną mu była
Protekcja papy; więc w pierwszym kadrylu
„Jedna z panienek serce mu zraniła".
A że ją widział wciąż tylko z profilu,
Tyle jéj różnych naszeptał różności
O swéj niezmiernéj, głębokiéj miłości,
I coś tam jeszcze... że w piątéj figurze
Dać mu przyrzekła odpowiedź... w mazurze.

Nadszedł ów mazur, podobno ostatni...
Młodzian panienki upatruje w sali,
I nic nie wiedząc, znajduje się w matni:
Bo gdy już hasło do mazura dali,
On stanał w rzędzie, ale z siostrą drugą
(Tak były obie do siebie podobne);
I znów jéj szepcze do ucha dość długo,
Aż się rumienią lica jéj nadobne.

W kilka dni potém wielki rwetes w domu.
Jak się to stało, nikt zgadnąć nie może:
Panny wieczorem znikły pokryjomu...
Rano wróciły. — Gdzie były?....
W klasztorze!

## Korespondencja.

*Szanowny Djable!* Dochodzą mnie z miasta wieści, że naród nie może zrozumieć, dlaczego na wszystkie pytania odpowiedziałem: *nie*. Bądź więc łaskaw przyjąć moje wyjaśnienie, które — jak sądzę — powinno wszystkich zadowolnić.

Ze stanowiska prawnego orzeczenie moje mogłoby zapewne ulegać zarzutowi, ale nigdy ze stanowiska sumienia.

Jestem skrupulatny; tymczasem w uczynionych nam pytaniach żądano stanowczego orzeczenia, czy obwiniony sprzeniewierzył taką a taką sumę guldenów i *pół centa*. Na guldeny mógłbym się był zgodzić, ufając zdolnościom matematycznym rachmistrzów śledczych; ale szło mi najwięcéj o to *pół centa*. Cóż łatwiejszego jak zarzucić pół centka?... wsunie się to między papiery, dziecko weźmie do zabawy, czasem i połknie nawet... a ty bierz na swoje sumienie tak ciężką odpowiedzialność uznaniem winy, któréj być nie mogło; bo któżby się łaszczył na pół centa?! Niegłupim! i dlatego na wszystkie trzy pytania odpowiedziałem: *nie*.

Co do pytania czwartego: *Czy obwiniony sprzeniewierzył kwotę wyższą nad 300 guldenów?* powodowałem się tąż samą skrupulatnością. Bo proszę mi powiedzieć, ile to jest „więcéj nad trzysta“?.... Trzysta jeden, czy miljon, czy djabeł wie ile?... I jabym miał sumienie moje narażać w rzeczach tak niepewnych?... A nużby się wierzycielom tego pana zachciało przyczepić do mnie o jakie kilkadziesiąt tysięcy?!... „Powiedziałeś, że *winien więcéj nad 300,* to płać teraz za niego!“ Jeszcze raz pomyślałem sobie: niegłupim... i odpowiedziałem *nie*.

Sumienie przedewszystkiém! każdy sądzi według własnego sumienia.... sumienie moje tak mi podyktowało i sumiennie oświadczam, że jako sumienny sędzia przysięgły w sprawach tyczących się sumienia postępuję z całą sumiennością.

*Jeden z dwunastu a raczéj dwunasty.*

## W czytelni akademickiéj.

— To więc już pewna wiadomość, że znów wybierają nam Niemca na profesora.

— I powinniśmy być dumni z tego wyboru.... Nie ma to jak niemieckie wykłady!

— Podziwiam kolegę!... więc czego było takie krzyki wyprawiać, póki tu wszystko było po niemiecku?!

— To nasi poprzednicy... mybyśmy się wcale o podobne rzeczy nie gniewali.

# A. B. C.

### dla Krakowian.

. . . . . . . . . . . . Słuchajcie Panowie!
Wiecie dokładnie, że w mieście Krakowie —
Co ma największy w Europie rynek,
Gdzie ile chłopców tyle i dziewczynek;
Gdzie mimo modłów, mimo nabożeństwa,
Dzieją się jednak wszelakie błazeństwa;
A djabeł kusi tu niejedną babę —
Jest bruk z asfaltu, zwany linją AB.
Mimo ciągłego na téj linji wiatru,
Co wieje strasznie prosto od teatru
Ku Pannie Marji, potém pędzi w pole,
Biorąc cylindry, kręcąc parasole, —
Pomimo tego ów bruk asfaltowy
Łysi, blondyni, siwi, białogłowy
Tłuką bez przerwy z rana do wieczora,
Czy to gorąco, czy to zimna pora.
„Bo całe miasto, co żyje z finansów,
Musi mieć przecież kącik do romansów.“
Powiecie może?... Nie racja fizyka;
Lecz tu *on* z *oną* zawsze się spotyka.
Tu mąż niejeden — gdy żona odjedzie —
Westchnąwszy mocno, chodzi po obiedzie;
A choć się zmęczy przez spacerowanie,
Miły uśmieszek na deser dostanie...
Pełen uczucia, pełen uprzejmości,
Bo nieobecna żona nie zazdrości.
A choć ksiądz woła, że niesfornie żyjem,
Gdy żony nie ma, nikt nie weźmie kijem.
Owszem przeciwnie, jeszcze prędzej nawet
Żona mężowi oddaje wet za wet.
Tu i myśliwi biorą stanowiska,
Bo każdy może przypatrzyć się z bliska,
Jak ciągną słomki, trzepiąc skrzydełkami;
Tu i duchowny — mówiąc między nami —
Chociaż pobożny z natury dobrodziéj,
Czule się wdzięczy, gdy na AB. wchodzi.
Nawet dewotka, sto klepiąc pacierzy,
Jeśli myśliwy na AB. wymierzy,
Chociaż nabożna, obejrzy się skromnie
I myśli w duszy: „Ach! on mierzy do mnie!“

Ba! żydzi nawet, gdy tu spacerują,
Tak jak na BC. rubli nie wekslują.
Zgoła że wszyscy — gdy jest we zwyczaju —
Męzkiego czy téż żeńskiego rodzaju;
Starzec, chociaż go ciężki kaszel dusi,
Po linji AB. spacerować musi.
Tylko że wicher, co tu ciągle wieje,
Rozpędza jakoś projekta, nadzieje;
Boć w pierwszym planie stoją dziś finanse.
Więc i ą z wiatrem daleko romanse;
A *on* czy *ona,* odbywszy tu h-ce,
Położy uszy i zmyka na BC.

Ale jeszcze *post scriptum...* znów na linji CD.,
Mimo czterech księgarni widać wielką biedę;
Ochota do czytania wstąpić tu się boi,
Bo warta na odwachu nieustannie stoi.
Mógłby księgarz uniknąć wielkich nieszczęść gromu,
Dodając śledzia *gratis* do każdego tomu,
Lub dwie pary kiełbasek do jednego dzieła...
Możeby do nauki chętka ludzi wzięła.

Jeszcze jest jedna linja... tak nazwana AD.
Ta znowu mimo chęci ma dość wielką wadę:
Bo że tu kamienica jest „pod Baranami“,
Więc z tych, co tędy idą pod pachą z książkami,
Każdy marzenia swoje gdzieś tam w górę wznosi,
A nie uważa na to, co pod pachą nosi.
Lecz trudno!... nieboraki nie poradzą sobie.
Wszystko się dziś zmieniło, bo *Knapczyński* w grobie,
Który choć nigdy ucznia nie wydał z sekretu,
Próżniaków i nieponiów brał do gabinetu.
Tam owa *castigatio* dawna *domestica*
Wypędzała romanse, ucząc co fizyka.